

Wspomnienia Witolda Rittersa

Wpisany przez Administrator

poniedziałek, 04 lipca 2011 21:44 - Poprawiony poniedziałek, 04 lipca 2011 22:05

Wspomnienia Witolda Rittersa <1963-1968>

Rykowisko

Pierwsza klasa technikum, przełom września i października.

Przyzwyczajaliśmy się do życia w internacie.

Początkowo nieufnie zaczynaliśmy się poznawać, kolegować, przyjaźnić.

Opisane wydarzenie rozgrywało się w niewielkiej sali na parterze pałacu.

Jedną ze ścian zajmował kominek - piec.

Pewnego wieczoru zagościł w naszym pokoju Staszek Mądry, uczeń trzeciej klasy.

Minę miał tajemniczą. Była to znana postać w internacie.

Popisywał się używaniem w nadmiarze wyrazów obcych, czym imponował pierwszoklasistom.

Mówiono, że wkuwa słownik wyrazów obcych, żeby zaistnieć na lekcjach języka polskiego u pani profesor Staw.

Pierwszoklasiści z reguły zaopatrzeni byli w domowe wiktuały, które kochające mamusie przysyłały swoim pociechom. Wiedzieli o tym uczniowie starszych klas i chętnie ?opiekowali się? nowicjuszami w zamian za poczęstunek domowym jedzonkiem.

Stach, trzymając w jednej ręce suchą kromkę, poprosił o posmarowanie jej smalcem.

Za chwilę w wyciągniętej zza pleców drugiej ręce pojawiło się kilka kolejnych suchych kromek - "dla kolegów".

Właściciel słoika pysznego smalcu jęknął głucho i odmówił świadczenia dalszych usług.

Inni też nie kwapili się z zaspokajaniem nadmiernych apetytów starszych kolegów.

Wtedy Stach z tajemniczą miną zaczął obiecywać uchylenia rąbka tajemnicy o październikowym rykowisku jeleni, oczywiście w pełnej konspiracji, szczególnie przed nauczycielami. Na stół powędrowały słoiki ze smalcem. Trzeba przyznać, że Stach ?sprawiedliwie? smarował - każdą kromkę z innego słoika.

Atmosfera tajemnicy i możliwości przeżycia niecodziennej przygody została stworzona.

Do późnej nocy, ściszonymi głosami, dzieliliśmy się uwagami, a każdy chciał uczestniczyć w rykowisku. Rozbudzona wyobraźnia podsuwała różne scenariusze.

I o to starszym kolegom chodziło.

Następnego dnia zostaliśmy zaproszeni do pokoju starszych kolegów [oczywiście po 22,00].

Pomieszczenie oświetlała skala lampowego radia, a na jednym z łóżek leżał prawdziwy karabin. Ośłupielśmy z wrażenia. Dostąpiliśmy zaszczytu obejrzenia i potrzymania karabinu.

Dowiedzieliśmy się wtedy, że jest kilka karabinów z gabinetu przysposobienia obronnego do konserwacji. Spontanicznie i chętnie zgłosiliśmy gotowość pomocy.

Na drugi dzień, po powrocie ze szkoły zastaliśmy w pokoju stos szmat i poowijane w specjalny papier karabiny, które ociekały wprost towotem. To była ciężka praca, a na dodatek okazało się, że karabiny mają poprzewiercane komory nabojoye i nie nadają się do użytku.

Daliśmy się wykorzystać przez starszych kolegów. Byliśmy rozczarowani i żli.

Humor poprawiło nam zapewnienie, że rykowisko tuż, tuż.

Na korytarzach internatu porozwieszane były lampy naftowe na wypadek braku prądu.

Pewnego dnia wychowawca zlecił uczniom trzeciej klasy ich wyczyszczenie.

Lampy zniknęły, więc, ze ścian korytarzy.

W pamiętną sobotę, po piątkowych opadach deszczu, chwycił lekki mróz.

Wieczorem pojawił się Stach z kolegami i oznajmił, że właśnie dzisiaj w nocy idziemy na rykowisko.

Wyruszyliśmy po 22,00 małymi grupkami, pod przewodnictwem starszych kolegów, w stronę łąk. Nasza grupka dotarła, do stojącej na skraju młodnika, ambony. Jak najciszej wdrapaliśmy się na górę. Ciemność i mgła sprawiały, że widoczność była znikoma. Po godzinie od strony czarnej ściany lasu dobiegł nas trzask łamanego chrustu.

Usłyszeliśmy szeptem przekazany komunikat: - "Idą jelenie".

Serca tłukły się w piersiach, adrenalina wypełniała ciało.

Spod lasu ku łąkom popłynęło: "Uuu-ech...uuu-ech...".

Zatrzeszczało po przeciwnej stronie, skąd dochodziły równie groźne i tajemnicze odgłosy.

Po chwili w ciemnomlecznej zupie mgły zaczął przesuwać się podłużny cień o rozmazanych konturach. Z łąki dobiegały pomruki i sapania. Pojawił się drugi cień.

Ciemne plamy starły się ze sobą z trzaskiem. Rozległo się głośnie tupanie, pomruki, gniewne sapanie i stękanie z wysiłku. Cienie kotłowały się we mgle. Odgłosy walki odbijały się echem od ściany lasu.

Nasz przewodnik komentował sytuację przejmującym szeptem: - "Ale go pogonił".

Coś popiskiwało w krzakach.

- To łanie tak wabią - objaśniał przewodnik.

Tymczasem walka byków trwała, z przerwami, kilka dobrych minut. Całe łąki grały.

Zewsząd dobiegały ryki, pomruki, trzaski i piski. Pełnia rykowiska. Ziąb brał coraz większy.

Dygotaliśmy z zimna, a co niektórzy szczękali zębami.

Wtedy to nasz przewodnik stwierdził, że musimy iść, bo w internacie będą sprawdzać obecność i powinniśmy być na miejscu.

Powoli i cicho opuszczaliśmy ambonę, a przewodnik prowadził nas przez chaszcze w noc.

Kiedy wkroczyliśmy w starodrzew, otoczyła nas zupełna ciemność.

Szliśmy gęsiego intuicyjnie wyczuwając kierunek.

Nagle zupełnie nieoczekiwanie, tuż przy nas, rozległ się ryk rozwścieczonego byka, trzask łamiącego się chrustu, głośnie tupanie i sapanie.

- On nas atakuje!...ratuj się kto może!!! - krzyknął nasz przewodnik.

Przerażeni rozbiegliśmy się na wszystkie strony. Gonił nas tupot, łomot łamanych gałęzi oraz donośny, brzęmiący gardłowo ryk byka. Biegłem na oślep. Gałęzie biły mnie po twarzy i wyciągniętych przed siebie dłoniach. Potykałem się o karpy i korzenie. Jakimś cudem przemieszczałem się w kierunku internatu. W ciemności zobaczyłem światła pałacu.

Zdyszany wbiegłem do pokoju i usłyszałem konspiracyjny szept, żeby nie zapalać światła.

Straszliwie zmęczony padłem na łóżko. W ciągu dwóch godzin, w opłakanym stanie, wracali pozostali współmieszkańcy. Była trzecia w nocy. Nikt nie spał. Każdy chciał się podzielić wrażeniami z przeżytej przygody. Opowieści były barwnie wypełnione fachowymi uwagami.

Dominował język łowiecki. Widziano czternastaka, szesnastka, byka stadnego rozjuszonego z nastroszoną grzywą, chmarę łani z przeraźliwie chudą licówką. W opowieściach pojawiał się

także szydlarz i chłyst oraz kilka cienko ryczących młodych byczków.

Był też tajemniczy byk, który choć ryczał, nie brał udziału w turnieju.

Bardzo szczegółowo opisywano zmagania jelenich samców.

Nie słyszałem już wszystkich opowieści. Zmęczenie i sen wzięły górę.

W niedzielę można było pospać dłużej. Mimo to trzeba było wstać o normalnym czasie i doprowadzić się do porządku po nocnej eskapadzie. Przede wszystkim przyszyć guziki i zatuszować zadrapania na twarzach i dłoniach.

Przy śniadaniu ciszę towarzyszącą konsumpcji przerwał nagle i niespodziewanie groźny ryk rozwścieczonego byka: - "Uuu-ech..."

Cała brać zanosila się od śmiechu.

Powoli zaczęliśmy się domyślać, kim byli reżyser i aktorzy nocnego spektaklu.

To nasi starsi koledzy, za pomocą szklanych cylindrów z lamp naftowych, chrustu, gałęzi i własnej inwencji oraz sprzyjającej pogody stworzyli dla nas to widowisko.

To oni udawali walkę byków tłukąc kołkami o pnie drzew, ględzili w młodniku jak łanie.

To oni wreszcie zaczajeni na wiadomych ścieżkach popędzili nam kota, kiedy wracaliśmy do internatu.

Teraz i my pokładaliśmy się ze śmiechu.

Dzięki tej przygodzie łyknęliśmy dużą porcję wiedzy z łowiectwa bez żmudnego wkuwania, a przeżycia spowodowały, że została zapamiętana na całe zawodowe życie.

Takie były wtedy "otrząsiny" ucznia technikum leśnego.

Apropozycja.

Scena, jak z filmu: stadko domowych kaczek spływa rzeka w stronę gajówki "Dzióbek".

W pewnym momencie w ich stronę leci wyrzucony zręczną ręką kij. Jednej z kaczek załamuje się szyja. Trzepocząc skrzydłami kreci się w kółko. Stadko płynie dalej z biegiem rzeki, a tę trzepoczącą się jeszcze wyławiają z wody ręce chłopaka w zielonym drelichowym mundurze.

Daleko od miejsca tego przestępstwa kaczka zostaje odarta z pierza i wypatroszona.

Płonie rozpalone na bagnach ognisko, a w jego żarze piecze się kaczka.

W soboty, po lekcjach, korzystając z wolnego czasu, penetrowaliśmy okoliczne lasy i cieki wodne. Plonem tych wycieczek była przeważnie siatka ryb.

Piekliśmy je na wolnym ogniu, obficie posypując solą.

Karmiono nas skromnie.

Wodniste zupy o nieokreślonym smaku i suchy chleb, to była codzienność.

W niedzielę na śniadanie podawano drożdżowy placek z kruszonką i imitację kakao.

Niedzielny obiad stanowił najczęściej dietetyczny rosół oraz cieniutki plasterzek oblepionego panierką mięsa [kotlet schabowy].

Najczęściej jadaliśmy serek topiony , końską kielbasę i smarowidło z zapasów UNRY udające masło, wzbogacone surowymi jajkami.

Stałym dodatkiem żywnościowym były otrzymywane z domu paczki.

W soboty po kolacji internat pustoszał.

Duża grupa uczniów, mieszkających niezbyt daleko, wyjeżdżała do domu.

Często zdarzało się, że ich rodzice zapraszali do siebie tych z nas, którzy ze względu na dużą odległość od domu rodzinnego pozostawali na soboty i niedziele w internacie.

Pewnej niedzieli państwo Pabisiakowie przyjechali własnym samochodem odwiedzić swojego syna Jasia. Mama Janka przeprowadziła gruntowny remanent w jego szafie, zabrała rzeczy do prania, na wyczyszczonych półkach porozkładała domowe wypieki.

Odprowadzając wyjeżdżających rodziców Janek mrugnął do nas porozumiewawczo.

Obowiązywała umowa, że jedzenie w tym pokoju jest własnością wspólną.

Dopadliśmy do domowego jedzonka nie spodziewając się, że poani Pabisiakowi wróci donieść jeszcze jeden czysty ręcznik i ze zdumieniem wpatrywać się będzie wprawie pustą szafkę. Płonęliśmy ze wstydu. Po dłuższej chwili mama Janka popatrzyła na nas i niespodziewanie obiecała, że co tydzień będziemy jedli domowe ciasto. Słowa dotrzymała, a ponadto byliśmy często zapraszani na domowe obiady.

Przed zakończeniem roku szkolnego, podczas przerwy, jeden z uczniów opowiadał o kłopotcie, jaki spotkał sołtysa wsi Janisławice. Tego roku sprzyjająca pogoda sprawiła, że sołtys zebrał ogromną ilość siana i nie miał go gdzie zmagazynować.

Następnej niedzieli dwóch uczniów z technikum przechadzało się po Janisławicach.

Spacerowali wolno drogą, zaglądając w obejścia, rozmawiali z gospodarzami i notowali coś skwapliwie w dużym zeszyte. Syn sołtysa przejeżdżając się rowerem posłyszał co nieco i pospieszył powiadomić ojca, że chłopaki z technikum chodzą po wsi i chcą kupić siano dla szkoły. Sołtys czym prędzej poprosił chłopców na podwórko.

Chłopcy obrazowo przedstawili sołtysowi plan hodowli na potrzeby internatu jałówek i zakupu dla tychże jałówek dużej ilości siana. Przekonywali, że to dyrektor wysłał ich na wieś, aby dowiedzieli się, od kogo szkoła może siano zakupić. Rozmowy i negocjacje z sołtysem, co do ewentualnej ceny i terminu odbioru siana trwały do późnego wieczora. Oczywiście, na koszt sołtysa i na poczet przyszłego interesu. Chłopcy pożegnali się i chyłkiem wrócili do internatu.

W kilka dni po ustalonym terminie zniecierpliwiony sołtys wybrał się do dyrektora.

Słyszając zdumienie w pytaniach dyrektora: - Jakie siano?, jakie jałówki? sołtys zrozumiał,

że został wystrychnięty na dudka. Oburzony zażądał konfrontacji. Niestety, dyrektor uświadomił mu, że będzie można to zrobić dopiero po wakacjach, bo trzy dni temu wszyscy rozjechali się do domów.

Za murem, w graniczącym z parkiem gospodarstwie ogrodniczym, dojrzewały na palikach grona pomidorów.. Gospodarstwa pilnowało stare psisko. Jediną przeszkodę w popróbowaniu smacznych owoców stanowił ogrodnik. Znalezione i na to sposób. Co jakiś czas organizowano zrzutkę na butelkę czystej wódki i wydelegowany przez nas kolega odwiedzał ogrodnika, który przyprawiał wódkę syropem poziomkowym. Ogródnik miał słabą głowę. Opowiada delegatowi ciągle te same historie z własnego życia, wspominając swoją młodość, a finałem wizyty była piosenka w wykonaniu ogrodnika z akompaniamentem na akordeonie. Też zawsze ta sama. Kiedy, więc, słyszeliśmy refren: - "Ta ostatnia niedziela..." - wiedzieliśmy, że droga wolna. Trzeba było przeskoczyć mur i po ciemku oceniając miękkość owoców wybierać, co dojrzalsze. Większość i tak była zielona i niedojrzała, jednak wspaniale smakowały na posmarowanych smalcem kromkach, posypanych ziołowym pieprzem i solą.

W całym internacie pachniało pomidorami.

Tak na różne sposoby urozmaicaliśmy sobie stołówkowe jedzenie.

Pani Profesor.

W pierwszą wolną sobotę września szliśmy małą grupką w stronę budynku szkoły.

Taki nieformalny zjazd absolwencki naszej klasy. ?Pałac? znajdował się za naszymi plecami.

Słowo wywołuje teraz niezbyt przyjemne skojarzenie, bo też niewiele zostało z dawnej jego świetności, zwyczajna ruina.

Wspominamy ścieżkę, która kiedyś tędy biegła, a teraz nie ma po niej śladu.

Jakby odruchowo wciągam powietrze. Nic nie czuję, ale natychmiast kojarzę Chanel.

Chanel to Pani Ela. Pani Elżbieta Staw - legenda szkoły.

Osoba niesamowicie inteligentna, z ogromnym zasobem wiedzy, niezależna od układów, nieobliczalna. Tak przedstawili ją nam -pierwszoklasistom - koledzy ze starszych klas.

Jakby działało się to dzisiaj.

Widzę ten ciepły wrześnieowy wieczór, dwóch chłopców na ławeczce pod płaczącą wierzbą.

Jeden z nich to Irek Kamiński. To właśnie on gra na gitarze i śpiewa stare i aktualne ballady. Naprzeciwko internatu w szczytowej ścianie budynku, w otwartym oknie widać zarys kobiecej postaci. To Pani Ela. Wiemy, że lubi słuchać tych ballad. Najlepiej wie o tym Irek.

Wykorzystuje tę maleńką słabość nauczycielki przed jutrzejszą lekcją języka polskiego.

Otrzymujemy z okna zaproszenie na kawę.

Mój światopogląd wtedy to mieszanina beletrystyki, własnych fantazji i wielka pasja czytania.

Nieważne, co, byle mieć dostęp do biblioteki.

Pani Staw uczyła oprócz języka polskiego także historii i geografii.

Potrafiła tak łączyć zagadnienia z tych przedmiotów, że nigdy nie byliśmy pewni, jaki przedmiot stanowi aktualna lekcja.

Bardzo mi odpowiadał taki sposób nauczania, wykłady wystarczały, by z odpowiedzi otrzymywać dobre oceny.

Jako nauczycielka języka polskiego Pani Profesor była odpowiedzialna za oprawę uroczystych akademii i przeróżnych świąt o charakterze państwowym.

Próby grupy recytatorskiej odbywały się w małym mieszkanku Profesorki. Po próbie była kawa, jakieś ciasteczka i niekończące się dyskusje na temat poezji, prozy, zagadnień literackich, twórczości i sztuki. Pani Profesor słuchała nas z zainteresowaniem, kierowała dyskusję na właściwe tory, dzieliła się swoją wiedzą.

Kiedys zaproponowała temat: "Czego chcesz, jak chcesz to osiągnąć?". Zapanowała cisza.

Zostałem, jako pierwszy, poproszony o wypowiedź.

Popatrzyłem na pejzaż na przeciwległej ścianie; wiejska droga przez łąki i pola, samotne drzewo, a w dolinie za wzgórzem w małym miasteczku bieli się wieża kościoła.

I nagle gdzieś odpływa ta pustka w głowie i ten lęk. Zaczynam mówić.

Opowiadam, jak chciałbym się znaleźć "po drugiej stronie lustra" w sielskim świecie oglądanego właśnie obrazu, sprawdzić, dokąd prowadzi droga i co mnie tam czeka, i być może będę chciał wrócić, być może nie. Tam mniej więcej wyglądał sens mojej dłuższej wypowiedzi. Pani Profesor pożegnała się z nami bez komentarza.

Długo nie wiedziałem, jaka rolę odegra w moim życiu to, co powiedziałem tego wieczoru.

Zrządzeniem losu wpakowałem się kiedyś w sytuację bez wyjścia.

Pomocną dłoń podała mi wtedy Pani Profesor.

Dzięki jej interwencji ukończyłem technikum leśne. Pożegnała mnie słowami nawiązującymi do owej dyskusji w prywatnym mieszkaniu: "Idź, szukaj swej drogi, jak w obrazie. Zostaw wszystko za sobą. Trzeba szukać i chcieć, żeby było inaczej, a najważniejsze jest to, że chcesz".

Szkoła prowadziła również Wydział Zaoczny.

Na zjazdy i zaliczenia przyjeżdżali pracujący zawodowo leśniczowie, aby uzyskać wymagany dyplom ukończenia technikum leśnego.

Praca zawodowa, rodzina, gospodarstwo, ciągły brak czasu na naukę. Takie były realia nauczania zaocznego.

Zlecone prace trzeba było oddać w terminie. Niektórzy przychodzili do nas po pomoc.

Płacili parę groszy, a my "odwalaliśmy" za nich robotę.

Zawiązaliśmy nieformalną spółdzielnię uczniowska.

Andrzej Mateusiak [wybitny matematyk] zajmował się zadaniami z fizyki i matematyki, kilkuosobowy uzdolniony w tym kierunku zespół produkował seryjnie rysunki techniczne, inni członkowie spółdzielni zajmowali się zbieraniem okazów owadów, pędów roślin, wykonywaniem zieleników.

Działała mała tajna manufaktura wyposażona w niezbędny sprzęt - ramki, szkło, szpilki,

żelazko.

Moja rola w tej "spółdzielni" polegała na pisaniu prac z języka polskiego.

Napisanie kilku wypracowań na ten sam temat w taki sposób, aby różniły się od siebie stylistycznie, oddawały charakter autora i nie kolidowały z jego możliwościami, nie było sprawą prostą. Musiałem prowadzić obszerną dokumentację obejmującą zamawiających prace. Otrzymywaliśmy na ogół trójki i czwórki. O lepszych ocenach dla słuchaczy zaocznych z podanych wyżej powodów raczej nie mogło być mowy.

Dzięki tym "pracom zleconym" utrwalaliśmy wiedzę pracując z materiałem różnych klas.

Każdego ranka zgadywaliśmy, kto będzie pierwszy w szkole - my, czy Pani Profesor.

Już na ścieżce poznawaliśmy po zapachu perfum, czy przed nami przechodziła.

Pani Profesor Staw gustownie się ubierała, na co dzień i od święta.

Regularnie uczestniczyła w każdej niedzielnej mszy. Uważano ją za osobę zamożną.

Plotkowano o tajemniczym narzeczonym, który zresztą istniał naprawdę i okazał się Dyrektorem Technikum Leśnego w Warcinie.

Pani Staw była wychowawczynią równoległej klasy. Walczyła o swych uczniów, jak lwica.

Była bardzo wymagająca zarówno w stosunku do siebie, jaki do uczniów.

Mimo to nie zdarzyło się, aby kogoś "oblała" na maturze.

Specjalnymi względami darzyła różnych dziwaków, zagubionych, "innych" i wszelkich oryginałów. Na początku drugiej lub trzeciej klasy pojawił się w naszej szkole Michał Zabadeusz. Trochę nas przerastał, tak wiedzą, jak i doświadczeniem. Pani Profesor wzięła go pod swoje skrzydła.

Ostatni raz widziałem Panią Profesor na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi w 1969 roku.

Szedłem z przyjacielem Zbyszkim Błaszczkiem [obecnie leśnikiem ds. łowieckich] gdy nagle natknęliśmy się na Nią. Poznała nas natychmiast. Żałowała, że nie może nam poświęcić więcej czasu. Chwilę rozmowy zakończyła prośbą. Wyjęła pieniądze i poprosiła nas o kupienie kwiatów i zanieśenie na grób Michała.

Z uśmiechem podała nam rękę na pożegnanie i życzyła powodzenia.

Nie było jej na pierwszym zjeździe naszej klasy.

Upłynęło już wiele lat, a zapach "Chanel" pozostał w mojej pamięci i tak jakoś dziwnie na mnie działa.

Gajówka "Dzióbek", Roch, Andrzej i ja.

Wchodziłem właśnie głównym wejściem, kiedy zaczepił mnie woźny Krakowiak oznajmiając: "Ja i Pan Dyrektor postanowiliśmy wyrzucić Cię z internatu. Twoich kolegów również". Odwrócił się i pomaszerował dostojnie w kierunku zabudowań mieszkalnych personelu. Pobieglem do pokoju i opowiedziałem wszystko kolegom. Sprawa była poważna. Byliśmy zaskoczeni. Co prawda święci nie byliśmy, lecz żeby zaraz z internatu?.

Krakowiakowi podbieraliśmy czasami szczupaki z zastawionych przez niego w rzece samolówek. Nigdy nas jednak nie przyłapał. Tak jednak bywa [wtedy nie byliśmy tego świadomi], że dla poprawienia ogólnego morale trzeba było pouczającego przykładu.

A my rzucaliśmy się w oczy: żywiolowi, czasami bezczelni, trudni w temperowaniu charakterów, wyłamujący się z zasad regulaminowych, no i do tego pyskaci " ?rogate dusze".

Następnego dnia wezwał nas dyrektor. Nie było dyskusji. Zostaliśmy usunięci z internatu w trybie natychmiastowym i poinformowani, że możemy jechać do rodziców lub załatwić mieszkanie na stacji. Bezskutecznie obeszlśmy całą wieś. W nocy przyszedł Hipek [starosta klasy, a później szkoły] i poradził, żeby spróbować na Dzióbku.

W gajówce mieszkała wówczas wdowa [z dziećmi, teściową i psem ? potworem] po tragicznie zmarłym leśniczym i młode małżeństwo -państwo Jaworscy z córeczką Dorotką.

Nie było miejsca, jednak po wielkich prośbach pan Jaworski pokazał nam niewykończony pokoik na strychu, w którym przez dwa sezony hodowano kurczęta.

Stan pokoju był opłakany, wejście po schodach-drabinie, brak mebli i prądu. Pan Jaworski zaproponował tylko szafę i lampę naftową.

O pieniądzach za wynajem nie chciał rozmawiać, motywując, że to mieszkanie służbowe i musi tylko poinformować w nadleśnictwie. Umówiliśmy się więc na korzystanie z obiadów. Przy pomocy kolegów urządziliśmy całkiem znośne lokum. Piec kaflowy na szczęście był sprawny, a drewna wokół dostatek.

Okazało się, że ktoś, jeszcze, próbował nam utrudniać interweniując w nadleśnictwie. Jednak bez skutku.

Bardziej bolesną niespodzianką okazało się pozostawienie w internacie jednego z kolegów, który aż do chwili przeprowadzki nie ujawnił nam tego faktu.

Dzisiaj, z perspektywy czasu i własnych przeżyć na gruncie zawodowym i towarzyskim, uważam to za śmieszny epizod, lecz wtedy było mi autentycznie przykro.

Stołowaliśmy się u Jaworskich i opiekowaliśmy się Dorotką, która była dzieckiem wesołym, lubiącym się bawić i nie sprawiającym problemów. Teść Jaworskiego był gdzieś w Polsce.. Co jakiś czas odwiedzał córkę, zięcia i wnuczkę starą IFA. Bagażnik samochodu wypełniały artykuły spożywcze i plastikowe karnisterki z gorzelnianym spirytusem.

Jaworski nie pił alkoholu, toteż spirytus leżakował bezpiecznie. Zapasy uszczuplały się tylko, kiedy znajomi rolnicy przychodzili pomagać przy żniwach lub wykopkach..

Niedziele spędzaliśmy w Sycowie u rodziców Andrzeja albo na miejscu. Przyjeżdżała wtedy siostra Andrzeja - Maryla, z koleżankami i urządzaliśmy piknik nad wodą. Dni mijały szybko i

Wspomnienia Witolda Rittersa

Wpisany przez Administrator

poniedziałek, 04 lipca 2011 21:44 - Poprawiony poniedziałek, 04 lipca 2011 22:05

beztrosko. Mieliśmy pełną swobodę. Osady pilnował Bury i nikt [nauczyciele, wychowawca, trójka klasowa] nie mógł nas zaskoczyć.

Mankamentem takiego życia była kąpiel przy studni i brak prądu, toteż po wakacjach, uzyskując przebaczenie Dyrektora, z ulgą przenieśliśmy się do internatu.

Witold Ritter - 2006.